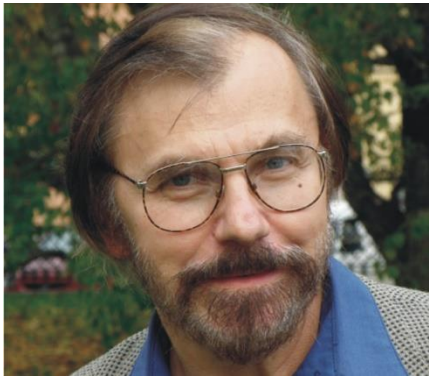


## Listy do Pani A. (193)



Fot. Andrzej Dębowski

## Dwa Michały

Droga Pani!

Niedawno Arkadiusz Frania, świetny poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych, autor 20 książek, z którym – jeżeli tak można powiedzieć – jestem w korespondencyjnej przyjaźni, przysłał mi sporą książkę o twórczości Tadeusza Gierymskiego, poety związanego z regionem częstochowskim. I tutaj Frania zrobił bardzo dobrą robotę. Przypomniał oto wybitnego poetę, który niesłusznie został zapomniany. Tak to bywa. Jeżeli twórca działa poza wielkimi centrami, nie rozpycha się i nie wrzeszczy o sobie, jak to często bywa w naszym życiu literackim, to najczęściej skazuje się niejako na niebyt. Tadeusz Gierymski należał do tych poetów, którzy nie reklamowali się na siłę, a zatem tylko nieliczna grupa znawców i miłośników poezji zachowała go w żywszej pamięci. Należy do niej Frania, który już kilkakrotnie pisał o twórczości tego poety, zresztą bardzo mu bliskiego nie tylko z powodu twórczości, ale i miejsca zamieszkania – Gierymski także był związany z Częstochową. Obaj panowie znali się i cenili.

Gdyby Pani była moją uczennicą zadałbym Jej obowiązkową lekturę tej książki. Po pierwsze jest świetnie napisana, rzuca światło na twórczość tego wybitnego, niesłusznie dziś pozostającego w cieniu, poety. Sam bardzo go ceniłem, choć nie miałem okazji zetknąć się z nim osobiście. Z przyjemnością znalazłem w tej książce Frania, w przypisach, swoje nazwisko. Tak, pisałem i ja również o twórczości tego poety. Tym bardziej cieszę się, że Arkadiusz Frania pisząc to świetne studium uwzględnił także moje głosy na temat świetnej poezji Gierymskiego.

Nazwisko poety upamiętniło się w polskiej kulturze między innymi dzięki jego rodzinnym powiązaniom z Aleksandrem i Maksymilianem Gierymskimi, znakomitymi malarzami. A ja teraz bardzo często spaceruję piękną ulicą Braci Gierymskich, jednocześnie myśląc o twórczości poety Tadeusza.

Zamyślam się nieraz nad losami wielu poetów, którzy nie mają takich szans, aby dobitnie zaznaczyć się w pamięci szerokiego kręgu

czytelników, choć wielu z nich nie ustępuje tym, których uważa się za „klasyków”.

Ostatnio czytam wiele biografii, nie tylko pisarzy. Są pełne anegdot, które podtrzymują żywą pamięć o ludziach. Przypominam sobie np. Mieczysława Czechowicza oraz Wiesława Michnikowskiego, wybitnych aktorów, znanych z wielu pierwszorzędných ról. Ale też z wielu anegdot. Czechowicz, wysoki, tęgi, zwalisty, Michnikowski drobny, średniego wzrostu. Tworzyli na scenie zabawny kontrast. Publikacja nie zawsze zapamiętuje aktorów z wielkich ról, czasami z kabaretowych, które też bywają w swojej klasie wielkie. Pisze o tym Hanna Faryna-Paszkwicz w swojej książce „Czechowicz. Hrabia, miś czy drań”. To Czechowicz z Michnikowskim tworzyli przeźabawny duet w Kabarecie Starszych Panów, kreując Sporego i Niedużego w piosence „Tanie dranie”. Ale literatura jest inną dziedziną, choć do dzisiaj pamięta się na przykład satyryczne wierszyki Mariana Żaluckiego. Ta wzmianka o „Tanich draniach” przypominała mi zupełnie prywatną scenę.

Oto po jakichś bachanaliach ze świętej pamięci Zbyszkiem Doleckim (on też jako poeta nie pozostał w powszechnym obiegu, a zasłużył na to) nie bardzo byłem w stanie wracać do domu samodzielnie. Mieszkałem wówczas w Zalesiu Górnym. Zbyszek zaofirował się heroicznie, że mnie odwiezie. Nie bardzo pamiętam naszą podróż, Zbyszek upewniał się co jakiś czas, czy rzeczywiście wiem, gdzie mieszkam. Zapewniałem go bełkotliwie, że wszystko pod kontrolą. Wreszcie jakoś dobrnęliśmy do domu. Otworzyła nam moja żona. Zbyszek trzymał mnie za kaptotę, prawie bezwładnego, niczym króliczą skórkę. „Przyprowadziłem pana Doleckiego” – wybełkotałem. „Kto kogo!” – zauważyła sarkastycznie moja żona.

Nasz duecik wyglądał nader zabawnie, co zresztą bawiło i naszych redakcyjnych kolegów. Tańczyli dwa Michały...

Kiedyś w naszej rozmowie o muzyce padło nazwisko „Dietrich Buxtehude”. Powiedziałem wtedy: „ja jestem Buxtehude, a ty Zbyszku Buxstegrubie...” Zawsze lubiliśmy kalambusy. Jaka szkoda, że już ich więcej nie będzie, ani naszego dueciku, ani bachanalii.

A mnie dopada skleroza. Niedawno pojechałem zatankować samochód. Wróciłem, zaparkowałem, dolałem jeszcze płyn do spryskiwacza, zamknąłem auto, zabrałem kanisterek po płynie i zaniósłem do śmietnika. Nagle skonstatowałem, że nie mam na nosie okularów. Wróciłem, przesukałem cały samochód. Zajrzałem pod maskę, do bagażnika, wewnątrz do wszelkich możliwych zakamarków – i nic. Ania przyszła, zaczęła bystro szukać, ale też nie znalazła. Zdematerializowały się, ale w którym momencie?

Do dziś zachodzę w głowę, co się z nimi mogło stać. Przecież miałem je przez cały czas na nosie. Może zdjąłem je podczas nalewania płynu? Jedyna możliwość to ta, że wyrzuciłem je bezwiednie wraz z pustym kanisterkiem do śmietnika. Ale jakoś w to nie za bardzo chcę mi się wierzyć. Zaraz następnego dnia zamówiłem nowe. Zgubione miały już ponad dwadzieścia lat. Miały też z lekka porysowane

szkła. Już wcześniej nosiłem się z zamiarem kupienia następnych. Zagadka pozostała zagadką, i wciąż mnie nurtuje.

Życie potrafi zaskakiwać, i to w dużo poważniejszy sposób. Na pobliskiej ulicy omal nie doszło do tragedii. W piękny, bezwietrzny dzień nagle przewróciło się grube drzewo. Niczym zdeklasowany arystokrata: oderwało się od korzeni. Korzenie zostały w glebie, a pień wraz z koroną runął na ziemię. Mało brakowało, a zginąłby przechodzień, który jakimś cudem zdążył uciec. Bardzo lubię drzewa, jestem za, ale niekiedy stwarzają spore zagrożenie. Często zastaniają widoczność na skrzyżowaniach, gubią konary, albo właśnie ni stąd ni zowąd przewracają się. Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie podczas huraganów. Ale z drugiej strony bez drzew trudno sobie wyobrazić miasto.

I ja sobie siedzę na uboczu. Brakuje mi trochę tzw. „środowiska”, ale z drugiej strony gdy śledzę co się tam dzieje, cieszę się, że jestem od tego piekiełka daleki. Dawniej, owszem, było piekło, ale innego kalibru. Dziś piekiełko tworzą najczęściej hordy wrzeszczących przekupek o bardzo małych rozumkach, piszące na ogół buraczane i marchewkowe wierszyki. Cóż, *signum temporis*.

Będę miał jednak pewien wgląd w twórczość autorów, zapewne różnych pokoleń. Oto przypomnieli sobie o mnie organizatorzy jednego z konkursów literackich, i zaprosili mnie do jury. Nie ujawniam, jaki to konkurs i gdzie, na to przyjdzie jeszcze czas. W każdym razie ucieszyłem się z tej propozycji. Będzie to jeszcze jeden ślad mojej publicznej działalności na dzisiejszej pustyni.

Może to kwestia wieku, ale z coraz większym obrzydzeniem i nie powiem, że bez niejakiego lęku, patrzę na to, co mnie otacza. Za wschodnią granicą wojna. Szaleje zbrodniarz, który powinien raczej wisieć, i to do góry nogami. W kraju gryzie się zbieranina oszustów, kłamców i złodziei, którzy w swoich programach telewizyjnych pozują na świętych, niepokalanych, ale i na surowych, niepokalanych inkwizytorów, którzy najlepiej wiedzą, kto ma być potępiony, a kto nie. Żyjemy trochę jak na wulkanie. Cieszę się, że nigdy w życiu nie bawiłem się w politykę, partyjki, zbawienne ideologie. Uważam, że najważniejszy jest zdrowy rozsądek i jaka taka etyka. Nic więcej. Trochę w myśl fraszki Janusza Minkiewicza (nie wiem, czy cytuję dokładnie): „nie marksista, nie katolik, ale za to alkoholik”. Gwoli wyjaśnienia: niech się Pani nie przeraża, nie piję już od dawna.

Życzę Pani najlepszych wakacyjnych wrażeń, póki jeszcze czas. Wrzesień już się zcai za plecami. Pozdrawiam serdecznie-

Stefan Jurkowski

